

Często czułem się jak krasnoludek wierzący w dzieci. Nieraz widziałem to, do czego nie powinienem się przyznawać.

Zacznę od Mamy. Był to czas, gdy wolałem nudzić się zespołowo, wyjść na podwórko, zobaczyć inne dzieci, usłyszeć, jak żyją, co robią, kiedy starych nie ma na horyzoncie, no i czy mają prawdziwego tatę.

Jednak mogłem się z nimi zadawać tylko na placu zabaw. Do nas nie miały po co przychodzić: za dużo im było nie wolno. Wszędzie wysprzątane na błysk, trzeba wkładać pokrowce na buty, nie zostawiać śladów na meblach, a zbyt głośny śmiech jej zawadzał. Przybiegała z awanturą, stała w drzwiach i zabierała się za troskę o nieletnich. Albo snuła marudne rozważania o niepewnym jutrze. To samo z bieganiem, tupaniem, wszelką ekspresją. Cudze szczęście stanowiło dla Mamy policzek. Jeżeli w domu wisielca nie wypadło nawijać o stryczku, to przy niej nie uchodziło manifestować radości. No, a kto udźwignie tyle zakazów? Toteż na ogół siedziałem sam.

Mama nie była w stanie niczego dla siebie załatwić. Dla mnie - tak. Kupowała mi najlepsze rzeczy. Odpowiednie i najdroższe. Ciuchy szyte na miarę, kompakty z bajerami, wiśnie „prosto z krzaka”. Sama poprzestawała na resztkach. Robiła za mnie wszystko, chociaż byłoby lepiej, gdyby mnie tak nie wyręczała i dopuściła do zaradności. Nie pozwalała niczego tknąć. Miałem się tylko uczyć. Jej refrenem było powiedzenie: *to nie na twoją głowę, ja zrobię lepiej, rób tylko tyle, ile możesz*. Więc nie robiłem niczego i do dzisiaj mało potrafię.

Nie dam rady, nie mogę, nie umiem, były to moje mantry, wygodne słowa, usprawiedliwienia przychodzące zaraz po przebudzeniu. Choć zdawała sobie sprawę, z jakim trudem włązą mi do glacy poszczególne ciekawostki i męczy przyswajanie różnorodnych wiadomości, zwłaszcza dat, była zdania, że nie należy mnie za często chwalić, zachęcać do wzmożenia wysiłków, przesadnie mobilizować, bo wpędzi mnie to w depresję i zmusi do porzucenia umysłowych treningów. Uważała raczej, że trzeba mnie chronić przed wbijaniem w dumę, traktować je w sposób naturalny, podchodzić do nich zwyczajnie, jak do zakichanego obowiązku względem niej lub – jak do terapeutycznych ćwiczeń mojej rozwichrzonej pamięci.

*

A ojciec? Tato nie potrafił na mnie patrzeć, wzdrygał się na widok karłowatego dryblasa, jak mnie nazywał. Nagle miał dosyć mojego rozmamłania, drgawek, czkawek i dygotów, tego, że jestem **nieprzepisowo dorodny**, jakkolwiek sam był wzrostu niedostrzegalnego, więc pewnego dnia wyniósł się w cholerę. Zaraz też wplątał się w nowe doznania, rządził na innym pastwisku, znowu szukając czterolistnej koniczyny, choć, jak chlapnęło się Mamie, skapcaniał do reszty i był już pod każdym względem niedorajdą.

W ślad za nim wymknął się z życia mój dziadek. Pamiętam, że nigdy nie potrafił zaakceptować warunków panujących w naszym domu, kołkowatego syna z muchami w nosie, wnuka, czyli mnie, *pełzającego wybryku natury*.

Byłem wtedy poza domem, w jakimś sanatorium czy szpitalu, a gdy wróciłem, Mama starała się nie płakać. Gdy jeszcze żył, zajmował prawą część małżeńskiego łóża. A kiedy umarł, miałem własny pokój i całe wyro.

Mama panoszyła się teraz w jednej kanciapie, a ja w drugiej i mogłem pozwolić sobie na zainstalowanie

elektronicznych urządzeń, wieży, drukarki, komputera marki „fiut”, składaka opatrzonego mianem „ostatni dzwonek”.

Zacząłem też gromadzić pocztówki, wyblakłe albumy z podobiznami antenatów. Pochodziły z odległych czasów, tak rozmytych w pamięci, że gdy starałem się o nich dowiedzieć czegoś bliższego, nikt nie mógł zaspokoić mojej ciekawości. Przedstawiwały zdjęcia z nieznanymi miast i kurortów. Były sepiowymi wizerunkami wyburzonych domów.

Przeglądałem je z mieszanymi uczuciami. Jeżeli dotyczyły bliskich mi osób, wywoływały we mnie przeszłość, odżywały we wspomnieniach.

Z ich powodu znajdowałem się myślami w pobliżu tych, którzy odeszli. Lecz kiedy przedstawiały twarze, których nie kojarzyłem, lądowały w koszu, bo nie były warte ocalenia. A przecież inni może mieliby odmienne zdanie, bo rzeczy i sprawy błahe dla mnie, dla pozostałych są często bezcenne i krewny czy przyjaciel osób na nich przedstawionych - chciałby mieć je stale przy sobie, gdyż to, co jednemu nic nie mówi, drugiemu wyciska łzy.

Zbierałem również płyty z encyklopediami, szczególnie geograficznymi, biografie malarzy, kompozytorów, literatów i opisy ich dzieł. Pokazywały miejsca, do których nie pojedę, tereny utracone, amputowane, obszary, których inaczej poznać nie miałbym szans.

Z początku traktowałem to kolekcjonerstwo jak niezłą metodę zabijania czasu i zabawę w magazynowanie informacji. Pochłaniały mnie lektury traktujące o wybitnych. Pozwalało mi to zachować resztki zdrowego rozsądku, skorygować przesadne mniemania o sobie, osuszyć zbiorniki z wybujałymi ambicjami, ale przede wszystkim utwierdziło w przekonaniu, że co było do powiedzenia, zostało powiedziane wcześniej i mądrzej, w związku z czym nie wypada otwierać wyważonych drzwi, po raz kolejny odkrywać koła i pływać wśród odgrzewanych kotletów.

Byłem więc ostrożny w ich doborze: pasjonowałem się książkami Mistrzów. Przedkładałem je nad powielaczowe cymesy rankingowych twórców. Wołałem poznawać teksty zwolenników rzetelnej wiedzy aniżeli produkty pochodzenia szmirowatego.

*

W dzień nie wychodziłem. Za to mogłem uczyć się. Nie narzekałem na brak zajęcia: zmęczyła mnie nauka – czytałem, nużyło czytanie – słuchałem radia lub oglądałem płytki z encyklopediami i lizałem świat przez komputerową szybkę.

A w przerwach między złudzeniami o poprawie mojego zdrowia Mama zmuszała mnie do gimnastyki intelektualnego mięśnia. Sprawdzała, jakie mam osiągnięcia, czy dokonuję postępów. Na tapetę wjeżdżały krzyżówki, kostki Rubika, quizy, szarady, rebusy. Lub grałem w szachy z mózgiem na prąd, ale „ostatni dzwonek” był za bardzo przebiegły: co rusz dawał mi baty. Wstawałem wtedy przed nią, zrywałem się za wcześnie, bo poprzedniego dnia za wcześnie kładłem się spać: uważałem, że bez wstawania w środku nocy życie jest za krótkie.

A któregoś dnia, gdy byłem pochłonięty wertowaniem swoich zbiorów, przez uchylone drzwi usłyszałem maminy głos; niechcący ułowiłem uchem, jak chełpi się moimi postępami i opowiada znajomym ze schodowej klatki, że niedługo wyjdę „na ludzi”.

Dcn.

opowiadanie z tomu przeznaczzonego do druku przez wydawnictwo PISARZE.PL

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

OWSIANKO, dodano 03.07.2012 19:44

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.